



Mirosław Derecki

MÓWIĆ, JAK NAJWIĘCEJ MÓWIĆ...

Nauczycielka podnosi dłonie do góry: - „uwaga, powtarzamy jeszcze raz. Powiedzcie wyraźnie: „w-i-t-a-m-y”. Otwierając szeroko usta, odcedza głoskę po głosce...

Wargi i język poruszają się powoli, uważnie formują słowo. Teraz „witamy” brzmi czysto.

Klasa wstępna. Dwanaścioro sześciolletnich dzieci. Tutaj uczą mówić. Żadne z tych dzieci nie usłyszało w życiu dźwięku. Nie słyszą własnego głosu, ani tego, co się do nich mówi. A jednak rozumieją. Ze skupieniem wpatrują się w usta mówiącego. Nie słuchają, one starają się zobaczyć słowa.

Zakład dla Dzieci Głuchych mieszczący się przy ulicy Męczenników Majdanka jest jednym z dwudziestu zakładów tego typu w Polsce. Przyjmowane są do niego dzieci od szóstego roku życia. W ciągu ośmiu lat pobytu w Zakładzie dzieci uczą się mówić i zdobywają wiadomości z zakresu szkoły podstawowej. Później mogą uczyć się w specjalnych szkołach zawodowych. Zdobywają w nich zawód kreślarza, ślusarza, stolarza albo krawca. Ostatnio powstał nawet projekt utworzenia technikum dentystycznego. Absolwenci szkół zawodowych dla głuchych pracują również w lubelskich zakładach pracy i cieszą się opinią dobrych fachowców.

Zawsze starano się nawiązać łączność głuchoniemych (bo konsekwencją głuchoty była często niemota) z ludźmi nieupośledzonymi. Powstały w 1816 roku w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży Instytut dla Głuchoniemych i Ociemniałych posługiwał się tak, jak wszystkie tego rodzaju zakłady na świecie, metodą migową. Polega ona na przekazywaniu pewnych pojęć i stanów uczuciowych za pomocą odpowiednich gestów i mimiki. Jednak ani ta metoda, ani stosowana później metoda migowo-dźwiękowa, nie zdały egzaminu. Zaczyna się coraz częściej mówić o metodzie czysto dźwiękowej. Jej twórcy udowadniają, że człowieka tylko głuchego, ale posiadającego przy tym normalnie rozwinięte narządy głosowe, można nauczyć mówić.

Metoda ta jest z dużym powodzeniem stosowana na całym świecie.

Sto dwadzieścia czworo dzieci i mieszka i uczy się w lubelskim Zakładzie dla Dzieci Głuchych. Są pod opieką jedenastu nauczycieli i czternastu wychowawców mających

ukończone Studium Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Dzieci rekrutują się z różnych środowisk, na ogół jednak pochodzą ze wsi. Przytłaczająca większość jest głucha do urodzenia. Najczęstsze przyczyny głuchoty wrodzonej: choroby, weneryczne i alkoholizm rodziców, niekiedy - niewinna „różyczka”, jeżeli matka spodziewająca się dziecka zachoruje na nią w okresie pierwszych miesięcy ciąży.

Dzieci ze wsi. Często niemal prześladowane przez rodziców jako „nic nie warte”. Rozhisteryzowane. Dzikie jak małe zwierzątka.

Stasia B., sześciolatka dziewczynka przywieziona przez matkę do Zakładu, zaszyła się w kącie kancelarii dyrektora. Gryząc, drapiąc i kopiąc nie pozwalała wychowawcom zbliżyć się do siebie. „Nic nie warta” - powiedziała matka. Po miesiącu, kiedy przyjechała w odwiedziny, dziewczynka na jej widok zawołała - „mama”. Kobieta rozplakała się.

Chłopiec, który ogłuchł wskutek komplikacji pogrypowych, będąc już w szóstej klasie. Straciwszy nagle kontakt z otaczającym go światem, był bliski szaleństwa. Przeształ mówić. Górując nad współtowarzyszami z klasy siódmej - w której teraz się znalazł - wiadomościami i zdolnością uzmysławiania sobie pojęć abstrakcyjnych, kwalifikował się jednocześnie do klasy wstępnej przez brak porozumiewania się inaczej, jak tylko przy pomocy pisma. Codziennie nauczycielka zupełnie bezinteresownie zostawała z nim po lekcjach i uczyła chłopca mówić. Oboje, - i chłopiec o którym przed chwilą była mowa, i Stasia B. - skończyli szkołę i chcą zostać kreślaczami.

Dzieci z klasy wstępnej i pierwszej i mówią „witamy” i „pa” na pożegnanie. W klasach wyższych już normalnie - „dzień dobry i „do widzenia”. W każdej klasie w widocznym miejscu umieszczony jest napis: „Mów - nie migaj”. Mówić, jak najwięcej mówić. Jedyne miejsce, gdzie powiedzenie, że „milczenie jest złotem”, nie ma racji bytu.

Od klasy wstępnej do czwartej stosuje się metodę „ośrodków pracy”.

W klasie trzeciej cmokanie, okrzyki zachwyty, ogólna radość.

Naprzeciw półkuliście ustawionych ławek kuchenka elektryczna, na niej garnek. - „Właśnie gotujemy kompot z rabarbaru”, mówi do mnie nauczycielka. Stwierdzam domyślnie: - „lekcja przysposobienia gospodarczego...” Okazuje się, że to jednak „normalna” lekcja. Dzieci gotując i jedząc rabarbar szybciej kojarzą przedmiot z wypowiedzianym przez nauczycielkę słowem. Chętniej uczą się je wymawiać. Jednocześnie podsuwa się im obrazek rośliny i kartkę z napisem „rabarbar”. W ten sposób uczeń jest niejako „osaczony” ze wszystkich stron. Ściany klas są wytapetowane tablicami poglądowymi, na których obok namalowanego przedmiotu jest jego znaczenie. Pod ścianami stoją konie, świnie, wieś i lasy z plasteliny, wykonane przez dzieci po powrocie z wycieczek i zajęć poglądowych. Od klasy piątej wzwyż każdy uczeń ma w ogrodzie szkolnym działkę,

którą musi uprawiać. Sieją na niej kwiaty i warzywa, flancują pomidory, sadzą krzewy ozdobne. Wszystko po to, żeby przyswoić sobie jak największą ilość pojęć. Dzieci nawet w umywalniach i łazienkach nie „mają spokoju”. I tutaj na ścianach wiszą tym razem przybory toaletowe, z karteczkami objaśniającymi.

Trudno się dziwić, że przy takim stanie rzeczy sześciolatnie maluchy piszą lepiej niż dzieci z drugiej klasy w normalnej szkole. Zdarza się, że dziecko nie potrafi jeszcze odczytać dobrze jakiejś głoski z ruchu warg nauczyciela. Przychodzi mu wtedy z pomocą znajomość palcowego alfabetu dla głuchych. Pewne ułożenie palców i dłoni jest odpowiednikiem liter alfabetu. Potrafią posługiwać się nim z niewiarygodną szybkością.

Nie widziałem w tej szkole dzieci przygnębionych i smutnych. Widziałem dzieci rozbawione, wesole, które zapomniały już prawie o swoim upośledzeniu. Oglądałem zdjęcia z przedstawień szkolnych, zabaw tanecznych(!), obozów, na które jeździ co roku tutejsza drużyna harcerska. Na przerwach jest tylko o wiele ciszej niż w „zwykłej” szkole. Ale dzwonek tak, jak i tam, ogłasza początek zajęć. Tradycja jest siłą.

Kończą się lekcje w szkole. Dzieci z rąk nauczycieli przechodzą w ręce wychowawców. Szkoła mieści się na pierwszym, internat na drugim piętrze. Ogromny, nowoczesny budynek Zakładu, oddany do użytku półtora roku temu, ma wielką salę gimnastyczną i widowiskową, jadalnię, nowoczesną kuchnię, pralnię z parowymi suszarkami, i elektrycznym magłem, łaźnią i... szereg usterek budowlanych, które są zmorą personelu, a dla dzieci swoistą pomocą w wyrabianiu sobie pojęcia o jakości pracy.

W internacie wychowawca pomaga przy odrabianiu lekcji, pracuje z mniej zaawansowanymi, czuwa wreszcie nad potężną i rzutką organizacją, jaką jest tutaj samorząd uczniowski. Do zadań samorządu należy między innymi dbanie o czystość i porządek w sypialniach, na korytarzach, w łazienkach i ubikacjach. W tym gmachu nie ma prawie sprzętaczek. Wszystkie porządki, począwszy od ścielenia łóżek, a skończywszy na pastowaniu i froterowaniu podłóg, robią sami mieszkańcy. W każdej sali jest dyżurny, który podlega dyżurnym z klas najstarszych, a ci dopiero wychowawcy. Samorząd gospodaruje w zimie łyżwami i sankami, w lecie rowerami, których jest tutaj trzydzieści - od zupełnie maleńkich do całkiem „dorosłych”.

W świetlicach można wypożyczać gry i pisma ilustrowane. Czytających książki - jeżeli to nie jest obowiązkowa lektura - spotyka się raczej rzadko. Głuchym od urodzenia nie dają one takiej przyjemności, jak na przykład ociemniałym. Wielka ilość pojęć abstrakcyjnych zawarta w książkach sprawia, że nierzadko z trudem mogą zrozumieć sens zdania.

O godzinie wpół do dziesiątej wieczorem, wychowawca gasi światło.

Interesująca jest historia samego Zakładu. Przed wojną i po okupacji istniały dwie klasy dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Klasy nie liczyły więcej jak po 6-7 uczniów; cały personel nauczycielski sprowadzał się do dwóch osób. W 1952 roku powstał Zakład dla Dzieci Głuchych. Jego dyrektorem została Maria Chrząstkowa, zajmująca to stanowisko do chwili obecnej.

Początki były bardzo trudne. Zakład otrzymał na internat budynek przy ulicy Dymitrowa, w którym dawniej mieściło się schronisko dla nieletnich przestępców. Problem budynku szkolnego był na razie nierozwiązany. Nagle zwolnił się budynek szkolny przy ulicy Mariana Buczka 21. Pomimo, że stropy były podparte stemplami, postanowili zająć go... i czekać, co z tego wyniknie.

Z ulicy Dymitrowa na Buczka dzieci chodziły przez siedem lat. Wreszcie w roku szkolnym 1960-1961, w kronice Zakładu znalazła się taka notatka: „Bieżący rok szkolny rozpoczęliśmy w bardzo dobrych warunkach. Nasz nowy zakład jest duży, jasny, pełen słońca i powietrza, odpowiada wymogom szkoły i internatu. Mieści się za miastem w dzielnicy - Majdanek przy ulicy Droga Męczenników Majdanka”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1961, nr 10, s. 9, 12.